„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila” Ivana Binara: Podróż przez komunistyczne inferno

Barbara Lekarczyk-Cisek

„Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” Ivana Binara jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi.

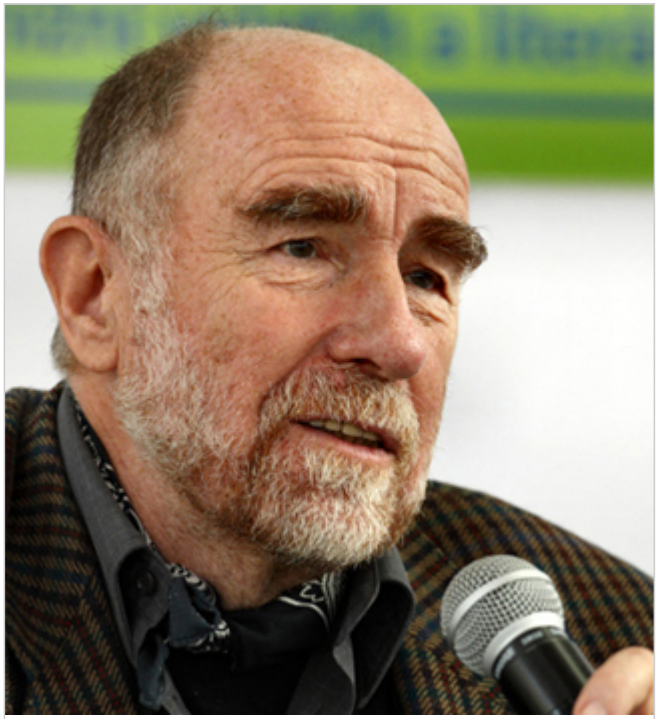

Ivan Binar, fot. wikipedia

Niech nikogo nie zwiedzie mający pozytywne konotacje tytuł powieści czeskiego pisarza Ivana Binara. Jego nawiązania do powieści przygodowej mają ukryte dno – są ironiczne: to raczej podróż przez piekło, choć nie opatrzono jej mottem z Dantego, ale cytatem z „Przygód dobrego wojaka Szwejka” Jaroslava Haška. Tym nie mniej jest to podróż fascynująca. Zmieniają się jej przewodnicy, a każdy z nich próbuje opisać świat pełen grozy i absurdu. Ale cóż to są za narratorzy! Jaka wyobraźnia! Blisko 400-stronicowa powieść Ivana Binara trzyma w napięciu od pierwszych scen po ostatnie.

Początek i koniec Wieńczysława Pawia – poety i podróżnika

Autorem wstępu i zakończenia powieści (pisanym kursywą dla odróżnienia od pozostałych narratorów) jest Wieńczysław Paw – poeta i podróżnik, jak zwykł się przedstawiać. Podróżnikiem zostaje się po przejściu przez… szafkę na narzędzia w elektrowni Zwycięski Luty, podobnie jak Alicja przechodziła przez taflę lustra. Z lustrem się nie udało, z szafką tak. Z przygód Pawia po drugiej stronie szafki powstała opowieść poprzetykana jego wierszami, która po śmierci przyjaciela została wysłana (wraz z szafką) przyjacielowi, który przebywał wówczas na emigracji w Wiedniu. W ten sposób Wieńczysław Paw stał się naszym przewodnikiem po „drugiej stronie świata”, którą rządzi absurd. Co odkrył? O tym można się dowiedzieć z siedmiu rozdziałów powieści.

Walka Václava Netušila o nieżycie

Pierwszy spośród nich jest opowieścią o człowieku, który za nic nie chciał przyjść na świat, jakby wiedział, że nic dobrego go na

nim nie spotka. Sama scena narodzin jest przedstawiona z iście czeskim humorem. Otóż jest zima, na zimnej kuchni siedzi ojciec mającego narodzić się bohatera, toteż nie można rozpalić ognia. Prośby służącej puszcza mimo uszu i już trzeci dzień siedzi tak z kotką Čičą (która odegra w powieści istotną rolę) i gra na oboju prostą melodię. Będzie ją grał także później, kiedy narodzony już syn i żona będą go raz do roku odwiedzać w zakładzie psychiatrycznym. Jego choroba jest raczej ucieczką do innego, spokojnego świata, w którym wszystko jest przewidywalne.

Ale wracając do sceny porodu, jest ona iście dantejska. „Nieurodek”, jak go określa narrator, protestuje i walczy, szarpiąc się tak skutecznie, że doktora odrzuca daleko. Z sypialni, gdzie rozgrywa się akcja porodowa, poprzez obszerną sień, wpada do kuchni, otwierając w ten sposób drogę

> *Pastuchom, złym duchom* (tekst melodii) do łona rodzącej oraz do nienarodzonych jeszcze uszu Václava Netušila, który zdecydowanie opierał się naciskom.

Ale ponieważ walka otumania i czyni z istoty rozumnej nieomal szaleńca, doktor nie daje za wygraną i nie przyjmuje argumentów malca przeciw narodzinom, które w innych okolicznościach może by do niego dotarły. I mimo że Václav bił się o nieżycie – o prawo do nieistnienia, przegrał z kretesem i

wydał ostatecznie „pełen bólu krzyk człowieka skazanego na życie”, zagłuszając nim nawet monotonne dźwięki oboju.

Dlaczego narrator zdecydował się uczynić go bohaterem swojej opowieści? Otóż dlatego, że – jak mówi wprost – „stał mu się bliski w nieprzychylnych czasach, ponieważ był światełkiem w mroku”… Václav Netušil to inna twarz Wieńczysława Pawia oraz – jak się okaże na końcu powieści… Nie, nie zdradzę zakończenia!

Wędrówki rowerem dookoła świata

Powieść Binara ma szkatułkową strukturę, w obrębie której znajdziemy opowieści kilku narratorów, w tym historię samego pisarza, ale najciekawsze są fragmenty rękopisu Pawia. Choć narratorzy mają różne doświadczenia życiowe, opowiadają różnymi (w sensie stylistycznym) językami, to łączy ich jedno: próbują opisać opresyjny, komunistyczny świat, którego *de facto* opisać się nie da, tak jest absurdalny. Chłopczyk „z dobrej rodziny”, w marynarskim ubranku, dorastający w dostatku, choć bez ojca, musiał jakoś sobie poradzić w świecie, w którym można było „za nic” znaleźć się w więzieniu, gdzie poddawano delikwentów psychologicznej i fizycznej „obróbce”, zaś na

wolności alternatywą było wojsko, a następnie praca w kopalni. Studia – tylko w przypadku odpracowania „na dole” kilku lat, a w praktyce – gdy podpisało się zgodę na współpracę z tajnymi służbami. A jednak niektórzy akceptowali ten stan rzeczy i próbowali się dostosować i „urządzić”. Na Nowej Fajdlandii (nazwa znacząca) ludzie mieszkają w okropnych warunkach, w malutkich mieszkaniach. Mężczyźni są impotentami i siedzą całymi dniami w kuchni jedząc różne wzdymające pokarmy. Ubrani w tzw. pierdzistry, „produkują” gaz i dostarczają go do wiatrowni, a ta przerabia go na energię elektryczną. Wieńczysław Paw – podróżnik i badacz obcych kultur postanawia opisać także i to ciekawe doświadczenie. Dodajmy, że na Nowej Fajdlandii panuje system totalitarny. Obywateli pilnują urzędnicy Głównego Urzędu Wewnętrznej Naprawy, zwanego w skrócie GUWNO.

Václava Netušila żywot podwójny

Kiedy Václav Netušil nie jest Wieńczysławem Pawiem, dopada go rzeczywistość o wiele gorsza, niż przygody na obcej ziemi, choćby była nią Fajdlandia. Więziony, nakłaniany do współpracy, gwałcony i zamykany w karcerze, w końcu godzi się na współpracę i pisze taki oto autodonos:

> Osadzony Netušil Václav, numer 08157 5288, prowadzi przygotowania do ucieczki z więzienia. W tak zwanym czasie wolnym prowadzi rozmowy z gołębiami zamieszkującymi dachy zakładu karnego na Borach, będącymi własnością socjalistycznego państwa i namawia je do współudziału w czynie przestępczym, tj. opuszczenia wraz nim miejsca odbywania przezeń kary. (…) O swoich planach opowiedział oswojonej myszy Krystynie, zamieszkującej warsztat, z którą utrzymuje kontakty, wbrew postanowieniom regulaminu. Wspomnianej Krystynie obiecał, że zabierze ją ze sobą, jeżeli ta nauczy się służyć, czyli siedzieć na tylnych łapkach, machając przednimi.

Przytoczyłam ten obszerny fragment nie tylko po to, aby przyszły czytelnik powieści mógł uchwycić ten rodzaj humoru, który jest charakterystyczny dla całej tej powieści. Chodzi o coś więcej: absurdu nie da się opisać inaczej, jak właśnie językiem absurdu, nie ma w nim bowiem żadnej ludzkiej logiki. Nieludzki świat rządzi się swoimi prawami, których pojąć nie sposób. Niekiedy brakuje jednak słów, aby go opisać i w takiej sytuacji autor tworzy nowe słowa, jak choćby wspomniany już „pierdzistry” (połączenie kanistrów z pierdzeniem) czy „pszczowa” (kontaminacja pszczoły i krowy). Tym większe uznanie należy się tłumaczce tej niełatwej prozy, Dorocie Dobrew, która stworzyła w języku polskim stosowne odpowiedniki.

Śmierć bohatera

Śmierć Wieńczysława Pawia vel Václava Netušila jest czymś, co musi nastąpić. Na koniec przyznaje, że jego wędrówka była ucieczką przed tzw. rzeczywistością i przed sobą. Nie żałuje życia – nareszcie zazna spokoju. Ale pomimo to – już pod postacią pięknego motyla: rusałki żałobnika – nadal poszukuje odpowiedzi na dręczące go pytania. Chce je zadać swojemu „osobistemu upiorowi" – oficerowi SB:

> Co dobrego mogło wyniknąć z łamania ludziom charakterów, z manipulowania nimi, z prześladowania ich i niszczenia? Jaki sens miało krzywdzenie bliźnich, na co się to komu zdało?

Zamiast odpowiedzi spada na motyla miażdżąca łapa przedstawiciela tajnych służb i dusza nieszczęśnika rusza w dalszą drogę przy dźwiękach znanej od dnia narodzin melodii: „Pastuchy, złe duchy, wyście naszą wykę, wyście naszą grykę wypaśli…".

Powieść Ivana Binara „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” jest fascynującą, szkatułkową opowieścią o tym, jak komunistyczny totalitaryzm głęboko niszczył ludzi oraz łączące ich więzi. Próba opisu tego absurdalnego świata, poprzez różne narracje, pozwala wniknąć w mechanizmy nim rządzące i zrozumieć ogrom krzywd, które wyrządzono zupełnie niewinnym ludziom, nigdy im niczego nie rekompensując ani nawet nie ujawniając całej prawdy.

> Czekałem na to – pisze z goryczą autor, który poznał wprawdzie listę donosicieli, ale też odkrył, że wiele dokumentów „zaginęło” – aż nowi, prawdziwi przedstawiciele narodu, wybrani w wolnych wyborach, odkryją prawdę, bo **bez prawdy nie istnieje sprawiedliwe, demokratyczne społeczeństwo.** Winnych trzeba wymienić z nazwiska, dopiero potem można odpuszczać winy.

Powieść Ivana Binara: „Siedem rozdziałów z życia Václava Netušila albo rowerem dookoła świata” ukazała się w Wydawnictwie Amaltea, w przekładzie Doroty Dobrew.

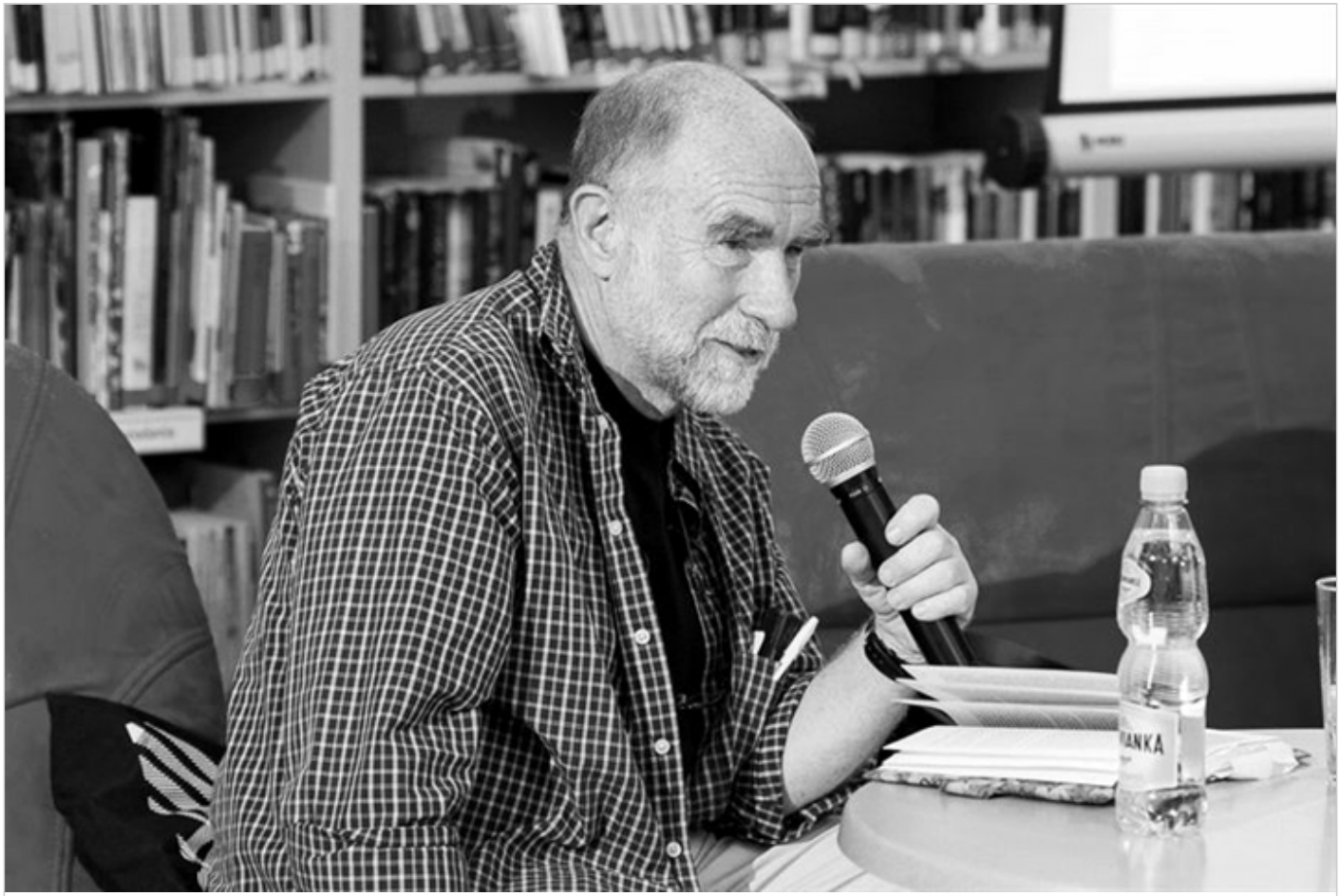

Ivan Binar, fot. kukatko,pl

Ivan Binar

Urodzony w 1942 w Boskovicach. Ukończył filologię czeską, historię oraz wychowanie plastyczne w Instytucie Pedagogiki w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel, redaktor naczelny czasopisma Tramp i współpracował z teatrem. W latach 1971-1973 był więziony za podżeganie do buntu. W 1977 roku wyemigrował do Wiednia, gdzie utrzymywał się pracując jako

tłumacz i konserwator ceramiki. Po sześciu latach przeniósł się do Monachium, gdzie pracował w redakcji Wolnej Europy. W 1994 roku wrócił do Pragi. Jest autorem czternastu książek. Pisze książki dla dzieci (ostatnio „Królik Fiala“, 2012) oraz dla dorosłych („Tylko smuga na niebie“, 2013).

www.kukatko.pl

Pamiątka po księdzu Janie

Ksiądz Jan Twardowski (1915-2006), Warszawa. 19.11.2001 r., fot. PAP/Andrzej Rybczynski.

Florian Śmieja

Ks. Jan Twardowski należy do tych poetów, których każde wydawnictwo opublikuje z przyjemnością i korzyścią. Jest lubiany, a książki jego znajdują chętnych klientów. Obok noblistów i ocierających się o nich Herberta i Różewicza, postać drobnego księdza musi zastanawiać. Nie posiada on wieszczego głosu, ani nie propaguje modnej filozofii, nie epatuje też chwytliwą formą. Łapie na wypróbowany, staroświecki lep: najzwyklejsze słowa człowieka i podbija najszersze kręgi czytelników.

W Warszawie chodziłem do sióstr wizytek na jego wczesne msze, raczej na kazania dla dzieci, takie śmieszne, proste i krótkie. A może to już było pod koniec jego posługi? Nie wiem. W wierszu napisałem, że trzyminutowe. Może przesadziłem. Ale były niepowtarzalne.

Dlatego z radością niosłem księdzu Janowi książkę przyjaciela, profesora Jerzego Pietrkiewicza z Londynu, prezent, którego nie zdołał sam przekazać. Po nabożeństwie poszedłem do ogródka za kościołem, odczekałem swoją kolejkę, bo byli inni petenci i wszedłem po schodach do pokoju na pierwszym piętrze domku.

Odebrawszy prezent ksiądz Jan sięgnął po małą, zieloną książeczkę. Wpisał na stronie tytułowej "I.I. Florianowi Śmieji najserdeczniej" i podpisał się dając datę. Była to skromna publikacja "Niecodziennik", zbiór anegdot i uciesznych dykteryjek, z których zacytuję ostatnią:

> Jestem bardzo wdzięczny tym, którzy pisali recenzje i artykuły o moich wierszach. Stale się od nich uczę. Zdarzało się jednak, że omawiając moje wiersze pisano o dialektyce, antynomiach, Pascalu, Heraklicie, Heglu, koegzystujących realiach. Przeraziłem się.
>
> Otworzyłem tom moich wierszy i natrafiłem na takie teksty:

> “polna myszka siedzi sobie, konfesjonał ząbkiem skrobie”, “kto bibułę buchnie, temu łapa spuchnie”, “siostra Konsolata, bo kąsa i lata”, “rysowałem diabła bez rogów, bo samiczka” – i uspokoiłem się.

Obiecaliśmy sobie modlić się za siebie, a niepokaźny “Niecodziennik” stanął dumnie obok pięknych tomów wierszy poczytnego poety, który posiadł rzadki dar prostoty.

Florian Śmieja

> POCIECHA
>
> To bardzo pocieszające
>
> że mimo promocji bełkotu
>
> układów i mistyfikacji

wbrew kumoterskiej krytyce

górują nadal czyste głosy

Herberta, Miłosza i Twardowskiego

że ze złomowiska instalacji

spod ezoterii i kuglarstwa

snobizmu i patologii

wydobywamy wciąż jeszcze

pożywny chleb poezji.

KSIĄDZ JAN

Dla M.P.

Już pochylony co niedzielę

wygłasza u sióstr wizytek

poetyckie homilie

dla niewiniątek w każdym wieku.

Bezkonkurencyjnie

wpisał się do księgi Guinnessa

za najkrótsze kazania

a jeszcze pewniej

w serca swoich słuchaczy

bezradnie wyciągających szyje

by niczego nie uronić

z jego mądrych szeptów

lecz rozumiejących bezwiednie

że dobroć słów nie potrzebuje.

Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.

fot. ShutterStock

Anna Habryn

Rozdział 7

– Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie…. Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem

widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

– Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ściskała w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wysiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoniła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

– Janie! – krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. – Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był jego prawnym opiekunem – nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

– Janie! – zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (…)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

– Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci pomarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wytłumaczył jej, że podczas ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z

transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód… Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

– Nie należysz do kombatantów? – zapytała teraz zdziwiona.

– Należę. Formalnie należę – powiedział i uśmiechnął się. – Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

– Nie najważniejsze? – Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

– Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

– No, czym naprawdę się szczycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

– Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

– Ale to są brytyjskie medale, nie polskie…

– Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów – powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

– Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

– No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.

Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki)

Anzac Day przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześnie. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy.

Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. “To i tak cud, że jest ich ciągle tylu”, pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

– Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: “Lewa, lewa…” Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

– Była pani w Warszawie? – zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

– A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypomniała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starała się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

– W prawo patrz! – zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: “Dziękuję, dziękuję”. Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

– Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie “Złota jesień”. Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

– Złamał biodro – powiedziała.

– Jak?

– Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.

Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

– Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać – i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i… spał.

“Biedaku – pomyślała Mary – siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia.”

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

– Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

“Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no.”

– Jak rozmawialiście? Po polsku? – zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

– Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi.

Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

– Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale… Janie, będziesz jeszcze dumny!”

Koniec

Utarczka z Zygmuntem Nowakowskim (1891-1963)

Florian Śmieja

Zygmunt Nowakowski, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego, opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Nowakowski, wieloletni członek zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa, ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w

londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w prasie i radiu brzmiały jak orędzia.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księciu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że:

> To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle najlepszych intencji wyrażam.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się ostrych i gwałtownych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było

przed nimi obronić, a nieobyci młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski" zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała długo toczącą się dyskusję, emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia się w Londynie w roli petenta przepraszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen W. Sikorskiego.

Spotkanie z Czesławem Miłoszem. Od lewej: Florian Śmieja, Czesław Miłosz, Zofia Poniatowska-Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie w „Dzienniku Polskim”, z 3 października zagrzmiał, że lokal, w którym się odbył wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma wysłałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej, że:

> Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie.
>
> Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:
>
> Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
>
> Za sobą mury polskie ciemnogrodu.

> Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „DziennikPolski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

> […]odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w instytucie im . gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu”.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Ująłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku, do którego szedł. Nie omieszkałem przy okazji włożyć mu do

kieszeni najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodzieńczej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?” Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przylgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez momemt nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

> I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

> Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w

> męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

– Dodając:

> A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Czy myślę nieskromnie, sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły ?

Klerk mężny. Wspomnienie o Zbigniewie Herbercie (1924-1999).

Zbigniew Herbert, fot. Jerzy Bauer/East News.

Florian Śmieja

Zbigniew Herbert był znakomitym poetą, ale jednocześnie człowiekiem dla wielu sobie współczesnych niewygodnym. Bo był inny. Nie połknął żaby, nie pisał pochwał Stalina, wśród towarzyszy go nie było, nie cieszył się zaufaniem pierwszych sekretarzy, nie był rzecznikiem ani przewodniczącym, nie był

szpiclem i nie pisał donosów na kolegów.

Pisał poezję, która się ostanie jako świadectwo jego czasów. Nie był uciekinierem z Utopii, ale wiernym sobie świadkiem możliwości postawy wyprostowanej, opowiedzenia się za smakiem. Herbert to klerk mężny, a takich w czasach PRL-u nie było zbyt wielu. Stąd niechęć literatów do poety niezhańbionego.

Mimo ukończonych przez niego studiów, odmawiano mu godziwego zatrudnienia. Owszem, jeździł za granicę. Były to wyjazdy trudne, pracowite. I bynajmniej nie bałwochwalcze.

W liście z 1975 roku pisał z Wiednia:

> Nie odpowiadałem tak długo ponieważ ruszałem się po Austrii (Graz,, Karyntia, Salzburg) szereg wieczorów autorskich, radio, TV, wszystko po to, aby umocnić się trochę tutaj (także finansowo, bo żyję z pracy rąk a nie na łaskawym chlebie).
>
> Ostatnie trzy lata w PRL-u miałem ciężkie, pełne doświadczeń, rozczarowań, małych tryumfów, walki. Nie potrafię pogodzić się z aktualną rzeczywistością w Polsce, nie idzie mi zresztą tylko o sytuację w literaturze. Przy tym wszystkim nie mam żadnych ambicji politycznych, ale

> niesprawiedliwość i krzywda ludzi prostych – doprowadzają mnie do stanu wrzenia. I eksploduję. I płacę za to. Na szczęście mam dobrą żonę, która stoi wiernie przy mnie.
>
> Ponieważ przeszło pół roku mam zakaz druku, zwłaszcza jeśli idzie o radio i telewizję – co stanowiło dużą część mojego budżetu – postanowiłem zostać na zachodzie jak długo się da. Mogę tu lepiej i swobodniej pracować. Zwłaszcza od czasu, gdy wyzbyłem się wielu iluzji na temat „wolnego świata”. Nauczyłem się już żyć i pisać w stanie konstruktywnej rozpaczy.
>
> Wszystko to piszę, abyś wiedział jak stoją moje sprawy. Przyjm to jako przyjacielskie wyznanie – do twojej tylko wiadomości.

A dziesięć lat wcześniej opisując daremne starania, aby dostać wizę hiszpańską zamieścił w liście taką skargę: *Cóż robić z tą miłością do świata, Florianie, i z takim fatalnym paszportem!*

Czyż można się dziwić, że wdowa po tak potraktowanym człowieku odmówiła przyjęcia orderu Orła Białego od dziedziców jego ciemiężców? Nie świadczy natomiast dobrze o polskich uniwersytetach fakt, że żaden z nich nie zdobył się na odwagę i przezorność, by Herbertowi nadać doktorat honoris causa. To ich

strata już nie do odrobienia.

Najwyższym jednak wyróżnieniem dla poety jest pamięć narodu i tę Herbert zdaje się mieć zapewnioną.

W roku 1965 w liście pisanym z Wiednia Herbert wyznał: *Przez Ciebie polubiłem Hiszpanię.* Ale było to uczucie wówczas jeszcze przez Hiszpanów nie odwzajemnione, zakazane, skutecznie udaremniane. Być może, że odezwanie Herberta spowodowało wydrukowanie przeze mnie dwu jego wierszy w miesięczniku madryckim „Poesía Española". Niemniej jego fascynacja Hiszpanią była znacznie wcześniejsza.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy w Londynie w 1959 roku, jako że w lutym tego roku czytał on swoje wiersze w Instytucie im. gen. W. Sikorskiego na zaproszenie naszej grupy poetyckiej wydającej wtenczas miesięcznik „Merkuriusz Polski". Potem czas jakiś spędził w Paryżu i usilnie starał się o możliwość wyjazdu do Hiszpanii. Prosił mnie w 1963 roku o poparcie.

> List polecający pomógłby mi, ale jeszcze trzeba kogoś znaleźć w Hiszpanii kto „poświadczy". Znalazłem już kogoś, ale zależy mi bardzo na adresie Twoich przyjaciół w Madrycie. Nie będę u nich mieszkał ani jadł, mam jakieś pieniądze na tę awanturę, ale miło by mi było spotkać

> Polaków z którymi mógłbym się dogadać. Czy nie zrobi Ci to wielkiej trudności? Ostatecznie mogę pojechać tak sobie. Ale w Hiszpanii znam tylko El Greca i nie wiem czy to wystarczy.

Nie pojechał, choć bardzo mu na tym zależało. W cytowanym już liście pisał gorzko wspominając ów epizod:

> Wizy mi oficjalnie nie odmówili ale też nie dali. Znam dobrze ten system z Polski. Naprzód miłe rozmowy z konsulem w Paryżu (głównie o hiszpańskim gotyku) potem zaczął mnie unikać – rozmawiałem z jakimiś 3-rzędnymi urzędasami, w końcu dałem spokój, bo udało mi się (dostać wizę – FS) do Włoch i Grecji. Nota bene dano mi do Grecji wizę na 4 dni, a byłem 4 tygodnie.

W innym liście z 1975 roku, również z Wiednia pisanym w odpowiedzi na przekazane mu przez Zdzisława Najdera moje kwerendy, Herbert donosił z nadzieją: „Być może że w zimie uda mi się pojechać do Hiszpanii, której nie znam i trudno mi ją sobie wyobrazić”.

Mieszkałem wtedy w Andaluzji i dwa listy Herberta przyszły na mój bardzo romantyczny adres: Plaza de la Caracola, Torremolinos, Málaga. Pracowałem akurat nad tłumaczeniem

jego wierszy i radziłem się w sprawie niektórych niejasnych szczegółów. Herbert cieszył się, że go przekładałem i to, jak zapewniał *na język którego nie znam (a muszę się nauczyć).*

Skoro Herbert nie mógł odwiedzić Hiszpanii, wizy nie potrzebowała jego poezja. Przełożywszy na hiszpański „Powrót prokonsula" i „Siódmego anioła" posłałem je do miesięcznika „Poesía Española", który je wydrukował w nrze 155, w listopadzie 1965 roku. Ukazały się dość dziwnie, bo bez załączonej noty o Herbercie, opuszczono także nazwisko tłumacza, tak że mogły uchodzić za utwory oryginalne. Ten błąd reklamowałem u znajomego redaktora tygodnika „Estafeta Literaria", który obiecał sprawę właściwie załatwić i dodał, że był w Wiedniu obecny, kiedy Herbertowi wręczano międzynarodową nagrodę Nikolausa Lenaua.

W roku 1975 często jeździłem z letniskowego Torremolinos do niedalekiej Malagi. Tam otwarto uniwersytet, którego godłem stał się sławetny gołąb pokoju Pablo Picassa, malarza urodzonego w Maladze. Jednym z wykładowców literatury hiszpańskiej był José Mercado. Zaprzyjaźniłem się z nim i pokazałem mu przekłady wierszy Herberta. Zapalił się do nich i przez resztę mojego pobytu spotykałem się z nim na wspólne cyzelowanie tekstów Herberta. Przyświecał nam pomysł, by przygotować cały tom przekładów i wydać jako publikację inaugurującą serię wydawnictw wydziału humanistycznego

uniwersytetu w Maladze. Po każdej wspólnej sesji, Hiszpan zabierał manuskrypty, aby je dać sekretarce do przepisania na maszynie. Kiedy zbliżył się czas mojego wyjazdu, cały tom został w gestii don Joségo. Nie miałem nawet kopii. Kiedy wróciłem do Kanady, zacząłem niecierpliwie czekać na ukazanie się przekładów ponaglając opieszałego partnera częstymi listami. Posłałem nawet pismo polecone pani dziekan wydziału oraz poznanemu w Maladze adwokatowi i poecie Alfonsowi Canalesowi. Niesłowny Andaluzyjczyk nie wywiązał się z przyrzeczenia, nie odpisywał na listy, potem zachorował i niespodziewanie zmarł. Po latach odnalazłem jego syna, który obiecał poszukać przekładów wśród spoczywających w piwnicy papierów ojca. Jeżeli one jeszcze tam gdzieś są, to praktycznie są niedostępne, a więc dla mnie przepadły.

Kubański kwartalnik związku literatów „Unión” w 1970 bodaj roku (na publikacji nie ma daty) wydał numer specjalny poświęcony współczesnej literaturze polskiej opracowany przez Romana Samsela. W obszernej antologii tekstów znalazły się również dwa wiersze Herberta „Powrót prokonsula” oraz „O tłumaczeniu wierszy” w przekładzie Jana Zycha. Mniej więcej dziesięć lat później (szacuję tylko, gdyż tomik także nie ma daty wydania) uniwersytet w Ciudad México w serii materiałów do lektury opublikował broszurę „Poesía polaca contemporánea” w opracowaniu i przekładzie Krystyny Rodowskiej. Wśród tekstów Iwaszkiewicza, Przybosia, Różewicza, Szymborskiej,

Grochowiaka i Białoszewskiego znalazły się cztery utwory Herberta: „Jonasz”, „Ozdobne a prawdziwe”, „Żeby tylko nie anioł” i „Przepaść Pana Cogito”. W roku 1986 torontoński dziennik „El Popular” wydrukował mój przekład „Raportu z oblężonego miasta”. Odwiedziłem kilkakrotnie Jana Zycha w México i wiem, że on też miał jeszcze na warsztacie poezje Herberta.

Wszystkie teksty moich przekładów Herberta, oprócz tych, które zaginęły w Maladze, drukowanych i nie drukowanych, w 1993 roku posłałem autorowi. Może nauczył się on tymczasem nieco hiszpańskiego języka, ale bardziej prawdopodobnie po prostu porównał moje wersje ze świeżo wydanym w Madrycie tomem przekładów „Informe desde la ciudad sitiada y otros poemas”, Hiperión, 1993 w przekładzie i prezentacji Xavería Ballestera. Dziękując mi za przekłady wyraził się, że „na moje wyczucie są bardzo dobre”. Rozumiał też moje problemy ze znalezieniem wydawcy hiszpańskiego. Tym razem bowiem los uśmiechnął się do Herberta. Napisał doń wydawca serii poetyckiej „Hiperión” i wnet wyszedł tom poezji i prozy poetyckiej po hiszpańsku, w którym znalazły się najbardziej znane utwory („Tren Fortynbrasa”, „Powrót prokonsula”, „Nike która się waha”, „Bajka ruska”, „Pan od przyrody”, „Kamyk”, „Dlaczego klasycy”, „Dawni mistrzowie”, „Mordercy królów”, „Domysły na temat Barabasza”, „Raport z oblężonego miasta” oraz szereg wierszy z „Pana Cogito”). Obszerny wstęp obejmuje życiorys Herberta i

charakterystykę jego twórczości. Maluje też obraz naszej części Europy ostatniego półwiecza.

Herberta ta późna niespodzianka ogromnie ucieszyła.

> Tak mnie to podnieciło – pisał w liście z 2.9.1993 roku – że ruszyłem za Pireneje i spędziłem w Madrycie cztery szalone dni i noce borykając się z ciężką chorobą jak bym postanowił umrzeć przed obrazem Goyi czy Velazqueza. Była to na pewno moja najbardziej zwariowana podróż ale jej nie żałuję.

Moje przekłady, które Herbertowi posłałem w wydruku komputerowym, udało mi się później opublikować we Wrocławiu z okazji ukazania się tam VI tomu „Estudios Hispánicos" mnie wielkodusznie przypisanemu z racji ukończenia siedemdziesięciu lat i ofiarowanemu w formie księgi pamiątkowej. Niektóre teksty stamtąd przedrukował dziennik kolumbijski „El Universal" w Cartagenie, a w hołdzie pośmiertnym zapewne ukazały się i inne wiersze.

Nie zdołała złamać poety dziwnie zgodna niechęć Hiszpanii gen. Franco i władz PRL-u, choć te ostatnie przez swoich pogrobowców ośmieliły się bezwstydnie oferować zmarłemu swoje fawory; hiszpański konsul natomiast uniemożliwił powstanie książki o gotyku i malarstwie hiszpańskim na miarę

„Barbarzyńcy w ogrodzie”, pozbawiając swoją ojczyznę mistrzowskiego peanu i hołdu oddanego jej przez nieszczęśliwego miłośnika, zaś polskiego czytelnika, znakomitej prozy.

Miłość po szkocku. W Poznaniu.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth.

Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.

Poznańskie Stare Miasto

Anna Habryn

Rozdział 6

Poznań był zupełnie inny niż Warszawa. Stary, dziewiętnastowieczny. Wojna go widać nie zniszczyła. Wyglądał jak Chicago: miał szerokie ulice, małe, stare domy stały ciągle wzdłuż ruchliwych głównych arterii, a na jezdniach królował raczej transport publiczny, jak Mary miała się przekonać, dobrze działający i tani.

Niektóre ulice, z zieleńcami przy blokach mieszkalnych, z pralniami z boku, przypominały czynszowe kamienice Glasgow, tyle, że tutaj wszystkie mieszkania miały balkony, metr na dwa, niektóre wystawiające na pokaz obfitość kwiatów, inne z praniem udrapowanym na balustradach. Niższe balkony otoczone bywały drutem kolczastym, jak powiedziała jej później Seweryna, siotra Jana, przeciwko włamywaczom. Psów była masa, ale wszystkie w kagańcach. Kwiaty były wszędzie, na każdym rogu uliczni handlarze sprzedawali kwiaty. I – nie wiadomo dlaczego – sprzedawali też świece wszystkich kształtów i rozmiarów. Wszystko to Mary notowała sobie w myślach, żeby opowiedzieć Janowi. Zresztą, zanim mogła rozejrzeć się lepiej, była na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wielkim blokiem. Mary wzniosła właśnie oczy ku niebu: – jak na litość boską mam znaleźć właściwe mieszkanie?, kiedy od strony kierowcy pojawiła się wysoka, szczupła kobieta, zadała jakieś pytanie, szofer odpowiedział: “tak, tak”, i wtedy Mary zobaczyła ją, Sewerynę.

Duża, przystojna, choć niemłoda blondyna objęła ją ramionami powtarzając: *“Mari, Mari”*.

– Udało mi się! – prawie nie mogła uwierzyć.

Szczupła pani to była Dorota, sąsiadka, która mówiła po angielsku. Niestety, mogła pozostać z nimi tylko dwie godziny, odlatywała bowiem do Londynu, w interesach.

– Proszę, witaj w moim domu – powiedziała Seweryna.

Proszę i *dom* Mary zrozumiała, *witaj* będzie musiała sprawdzić później w swojej biblii – słowniku, który stale ściskała w garści niby paszport.

Dom Seweryny zapraszał, stół był zastawiony, były kwiaty i świece, wino i lśniące kieliszki. Było gorąco, może ze 30 stopni, toteż duże okna były otwarte i prezentowały całą piękną wystawę kwitnących w skrzynkach kwiatów. Salonik był przytulny. Na podłodze leżał bogaty, czerwony dywan. Ładna, duża szklana szafa z solidnego drzewa pyszniła się skarbami całego życia gospodarzy. W oknach wisiały piękne koronkowe firanki, a nakrycia poduszek na sofie były robione szydełkiem, tak samo jak śliczny koronkowy sweterek, w który była ubrana gospodyni. Mary rozejrzała się po ścianach: wszędzie reprodukcje świętych obrazów, szczególnie eksponowany papież Jan Paweł II.

Kuchnia była malutka, ale urządzona starannie, pełna słoików z przetworami. Mary poznała wypłowiały ręczniczek z kangurem, wiszący na ścianie – to był podarunek od Jana, sama go kiedyś wybierała w sklepie.

Do sypialni Seweryny wchodziło się z kuchni. Sypialnia była dosyć duża, ale gdyby nie olbrzymie drewniane szafy, byłoby tu jeszcze jakieś dwa metry przestrzeni ekstra. Toaleta była oddzielona od łazienki. Mary zadecydowała, że od tej chwili będzie jej się podobało wszystko, bo czuła się swojsko i to było najważniejsze.

Otworzyła swoją torbę z podarunkami ze Szkocji. Nie miała w niej nic z Australii, bo w Australii nie myślała jeszcze o wizycie w Polsce. Przywiozła więc Sewerynie kruche ciasteczka, tradycyjne szkockie herbatniki, figurkę Potwora z Loch Ness. Wyciągnęła też szal w szkocką kratę i owinęła gospodyni dookoła szyi mówiąc: “zima”. O, Mary znała nazwy pór roku i dni tygodnia po polsku, umiała też liczyć do dziesięciu, toteż jeśli zdarzyło jej się znać jakieś słowo, używała go z radością i bez względu na gramatykę. Seweryna – niestety – nie chciała próbować angielskiego, a szkoda, bo wiele słów było całkiem łatwych, podobnych w obu językach.

– Kawa, herbata?

Seweryna miała piękną opaleniznę, w złotym odcieniu, żadnego makijażu. W jej włosach, teraz siwych, przebijały pasma naturalnego koloru blond. Była postawną kobietą, i zachowywała się całkiem jak Jan, ruchy jej oczu i rąk były podobne. Mary aż trudno było uwierzyć, że upłynęło 59 lat, od kiedy Seweryna ostatni raz widziała swojego brata. Można by pomyśleć, że przeszli przez życie razem. Mary widziała kiedyś jej fotografię jako kilkunastoletniej dziewczyny, Seweryna była wtedy piękna. Zostać wywiezioną do Niemiec w wieku czternastu lat, to musiał być dla niej koszmar, dla jej matki też. Ale nie chciała wiele mówić o latach wojny. Powiedziała, że Rosjanie byli tak samo źli, potem temat został zaniechany.

Krzątając się po kuchni przy kolacji, Seweryna widocznie była szczęśliwa, bo śpiewała.

– Janek *syng*?

– Nie, nie, *just* „Marsz, marsz Dąbrowski”.

Seweryna roześmiała się.

– Janek taniec?

– Nie, nie, *Severina*.

Władysław Kolecki – pierwowzór Jana Rogackiego, bohatera powieści Anny Habryn „Miłość po szkocku” i jego pasierbica Mary, Perth, Australia.

Polska kolacja była za ciężka na jej żołądek. Kawa miała smak piasku, herbata była słaba, wino było smaczne, ale Mary spróbowała tylko trochę i pozostała przy wodzie. Gospodyni była naprawdę dobrą kucharką, jak zwykle Europejczycy, ale już następnego dnia próbowała zmusić Mary do jedzenia trzech posiłków dziennie. Mówiła:

– *Mari* chuda, Seweryna gruba.

Mary wiedziała, że „gruba” znaczy *fat*, a domyśliła się z jej bardzo opisowych gestów, że „chuda” znaczy *thin*. Porozumiewały się jak Robinson Crusoe z Piętaszkiem.

Mieszkanie mieściło się na półpiętrze (Seweryna została pewnie przez władze kwaterunkowe potraktowana ze specjalnymi względami z powodu swojej chorej nogi – myślała Mary) i miała widok na aleję drzew, a dalej na miejscowy park. Przez następne dwa dni Mary spacerowała po nim, albo po prostu siedziała na ławce obserwując zwykłych ludzi, ciężko pracujących, nie bardzo różniących się od ludzi gdziekolwiek indziej na świecie, i dobrze.

Sierpniowe wieczory były ciepłe i pachnące. Łóżkiem Mary była kanapa, która rozkładała się całkiem zmyślnie. Mogła leżąc na niej oglądać telewizję, w której nadawano często angielskie programy, z polskimi napisami. Seweryna pisała wieczorami długie listy do Jana, żeby Mary zabrała je do Australii. Noce były krótkie, mrok zapadał około 10-tej wieczorem.

W piątek po kolacji Seweryna zadzwoniła do swojej starszej siostry Zofii i oznajmiła, że odwiedzą ją jutro, w sobotę, *tomorrow.* Mary nie mogła długo zasnąć. Myślała, że musi jutro wysłać Janowi kartkę z Poznania. O tylu rzeczach chciała mu powiedzieć... Rano Seweryna wstała wcześnie. Poszły po świeży chleb. Pobliskie sklepy były podobne do australijskich, sprzedawały wszystkie niezbędne rzeczy, ale na pewno nie były

nawet w przybliżeniu takie duże, jak australijskie. Bogactwa nie było widać, tak samo jak biedy.

Śniadanie było zawsze dużym posiłkiem, dla biednej Mary niemożliwym do skonsumowania. Seweryna miała dobry apetyt.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a łóżka pościelone, wyszły w poranne słońce. Przy sobocie centrum Poznania roiło się od ludzi. Jechały dwoma autobusami i obejrzały trochę miasta. Miejscowy targ był interesujący, masa świeżych owoców i jarzyn: czerwona kapusta, buraczki.

Znowu kwiaty, wszędzie sprzedawano śliczne kwiaty, więc kupiła duży bukiet dla Zofii. Seweryna kręciła głową z dezaprobatą na temat wydawania przez Mary pieniędzy. Nie pozwoliła Mary zapłacić za taksówkę na ostatnim etapie ich podróży do Zofii. Mary za to zapłaciła za taksówkę do domu w nocy, wracały bowiem zbyt późno, żeby skakać z autobusu na autobus. Siostry Jana mieszkały w sporej odległości od siebie.

Przyjęcie u Zofii było równie miłe, jak u Seweryny. Jak na jej wiek, była to bystra kobieta, bardzo interesująca, ciągle piękna, z oczami, które wydawały się przewiercać Mary na wskroś. Nie dałaby się nabrać nikomu. Była tam też pani o nazwisku Mary Hoffman, Żydówka, kobieta nieco starsza od Mary, żona lekarza. Mówiła ona dobrze po angielsku i miała być tego dnia ich

tłumaczem. Z Zofią mieszkała również jej pielęgniarka, młoda, ładna kobieta, na imię miała… Zofia. Siadły więc do rozmowy: dwie Zofie i dwie Marie.

To mieszkanie – one na wszystko mówiły „dom” – było bardzo ładnym, drogim apartamentem. Stół znowu uginał się pod potrawami tradycyjnej polskiej kuchni. Była i wiśniówka, którą Mary zaczęła uważać za wódkę tak polską, jak szkocka była whisky.

Mary miała jakieś pamiątkowe drobiazgi również dla Zofii. Dostała w rewanżu polską lalkę w tradycyjnym stroju, łatwą do przewiezienia, śliczny prezent. Od Seweryny miała już podarunki równie piękne: była to paczka dla Jana i dwa kryształowe wazony, jeden dla Mary, drugi dla Mandy. Ten dla Mary był opleciony dookoła wzorem koloru bursztynu.

Młoda Zofia nie umiała po angielsku, ale jej oczy wyrażały wielką radość z obecności gościa. Mary Hoffman zaś powtarzała, jaka to z Mary odważna młoda kobieta. Młoda! – to Mary rozśmieszyło.

– Mam 62 lata! – powiedziała z dumą.

Przez następne kilka godzin zadawały pytania – i opowiadały.

– Zofia była kiedyś bardzo zdolną i przedsiębiorczą kobietą.

Podczas wojny – powiedziała Mary – tłumaczka – Zofia miała swój własny sklep rzeźniczy. Jakoś potrafiła pomagać wielu ludziom, takim jak ja. Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, że czasem ratuje się komuś życie dając mu kości i tłuszcz na zupę.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Mary.

Dzieci Zofii wszystkie zrobiły zawodową karierę. Seweryna natomiast nigdy nie została pobłogosławiona dziećmi. Jej mąż, chociaż nie znała go jeszcze wtedy, był w ruchu oporu. Nie chciały powiedzieć nic więcej, choć Mary miała nadzieję na jakąś bohaterską opowieść. Wyglądało na to, że nie całkowicie jej ufają. Kiedy zapytała, czy Jan jako chłopiec był „dobrze *boy*", zajęły pozycję obronną. Żadnych żartów, w tej rodzinie zachowywano absolutną lojalność wobec dawno utraconego brata.

Zofia zaskoczyła Mary pytaniem:

– Dlaczego twoja matka nie pozwoliła Jankowi przyjechać do Polski na urlop?

Mary nie miała zamiaru bronić swojej matki, ale chciała pozwolić im myśleć, że Jan był w miarę szczęśliwy w życiu na obczyźnie. Gdyby chciała powiedzieć zupełną prawdę, musiałaby wyznać, że jedyną osobą, która dawała Janowi szczęście, była jego córka,

Sandra.

Ale one były podejrzliwe. Któryś z siostrzeńców Jana odwiedził Adelaide w Południowej Australii 12 lat temu i zadzwonił stamtąd do Sheili prosząc do telefonu Jana. Matka odmówiła, powiedziała, że Jan leży chory, jest starym człowiekiem i nie może jechać na wakacje, a w ogóle są na to za biedni.

Mary przypomniała sobie, że słyszała o tym telefonie. A teraz przyciskano ją do muru. Przecież nie mogła im powiedzieć: moja matka lubiła mieć całkowitą kontrolę nad Janem. Jedyny raz, kiedy jej mąż okazał silną wolę i postawił na swoim, to było wtedy, kiedy na horyzoncie, to znaczy w Londynie, pokazał się jego brat, w 1952 roku. Matka musiała się wtedy ugiąć, rzucić kochanka i wrócić do męża. – Do końca wam tego widać nie wybaczyła. A może też bała się, że Jan znowu zrobi jej jakąś niespodziankę?

Jak im to miała wyjaśnić? Lepiej było uniknąć odpowiedzi i zmienić temat. Na szczęście miała ze sobą kasetę wideo. Jeden z kuzynów w Anglii miał film z Sandrą, zrobiony w 1986 roku, dobry film rodzinny, z kilkoma ujęciami, w których widać było Jana. Mary pożyczyła tę taśmę, żeby rodzina Jana mogła ją obejrzeć.

Przeszły wszystkie do bawialni i siadły przed telewizorem.

Młodsza Zosia wprost nie mogła się doczekać, żeby obejrzeć autentyczne życie w Australii. Na filmie uwieczniono baseny kąpielowe, pokoje do gier ze stołami do bilardu, łodzie… cały ten styl życia naprawdę wydawał się bardzo komfortowy, nie sfilmowano niczego wyglądającego ubogo. Ale starej Zofii, jak wytrawnemu psychologowi, nie umknęło nic. Nie podobał im się brat Mary, Wilson. Był bardzo przystojny, orzekły, podobny do matki, ale nie zachowywał się naturalnie, ani nawet grzecznie: ciągle wpychał swoją twarz przed obiektyw. Matkę też poddały ścisłej analizie, szczególnie kiedy zobaczyły, jak niełaskawie próbuje odepchnąć od siebie Jana. Biedny Janek. Kiedy oglądały te właśnie sceny z Janem, płakały, śmiały się i machały do niego! Wszystko to wydawało się Mary nieco zwariowane, ale przecież oto pierwszy raz w życiu mogły zobaczyć swojego brata w Australii: chodzącego, śmiejącego się, wsiadającego i wysiadającego ze swojego samochodu, z jego piękną córką Sandrą.

Mary była zupełnie szczęśliwa. Wiedziała już, że jej przedsięwzięta bez zastanowienia podróż do Polski miała sens.

Ofiarowała im tę kasetę jako drogocenny podarunek. Powinna była ofiarować im ich brata, a nie tylko jego obraz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, małe zadośćuczynienie za to, że nie pomogła Janowi wcześniej w jego życiu.

Godziny upływały. Zdaje się, że wszystkie cztery były już bardzo zmęczone. Ale wyciągnęły jeszcze rodzinny album ze zdjęciami. Więc Mary zobaczyła matkę Jana, i ojca.

– Podobny jak dwie krople wody – wykrzyknęła, a one się zgodziły. Zobaczyła ich ładny dom na wsi, porządny, ceglany, piętrowy dom. Mieli kilka akrów ziemi, o których Jan opowiadał narzekając, że musiał na nich pracować po przyjściu ze szkoły. Mieli mały sad, gruszki i jabłka, ale głównie warzywa. Ich życie – mówiły – jak życie większości Polaków, zostało wywrócone do góry nogami przez hitlerowców.

Rodzina nie wiedziała, czy Jan żyje czy nie, aż do roku 1947. Kiedy się dowiedziały, że *Błyskawica* wróciła do kraju, były zadowolone, że Jan został w Szkocji, najważniejsze, że żywy i bezpieczny. Mary słuchała, co mówią i czuła, że to wciąż nie była odpowiednia chwila, żeby sugerować im coś przeciwnego. Nie chciała oświecać ich więcej jak tylko mówiąc, że jej matka była samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Zapytały, czy ich ojciec zginął w akcji. Nie mogła się pochwalić – w ich życiu nie było bohaterów wojennych – przed Janem!

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o 50-ciu latach w jeden wieczór. Mary padała już z wyczerpania, trzeba było zakończyć ten wieczór. Niełatwo było jednak powiedzieć gospodyniom: żegnajcie.

Czuła się zaszczycona, że jest częścią ich życia i że łączy ich ten brat, którego nigdy nie zapomniały, jej polski ojciec. Cichy, poniżany, skromny człowiek, trzymany w izolacji, z daleka od tych niewielu ludzi, których znał i kochał.

Rzeczy miały się zmienić, powoli, ale na pewno. Wierzyła, że ta jej podróż do Polski będzie początkiem tej zmiany.

Poznań

Następnego dnia, niedzieli, Mary oczekiwała z ciekawością. Miały z Seweryną iść do kościoła, a potem na cmentarz. Ale

przedtem były “Wiadomości Poranne”. Seweryna włączyła radio i krzyknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Diana, Diana zabita!

– Nie, musiałam jej nie zrozumieć – pomyślała Mary zupełnie zdezorientowana. Ale nie potrzebowała wyciągać swojej „biblii – słownika”, bo właśnie podawano tę wiadomość w telewizji, a obrazy mówiły same za siebie.

Poczuła, że trzęsie się ze zdenerwowania: jak to się mogło stać? Jak to możliwe, to nie fair! *Cinderella* nie może umrzeć, bajki się po prostu tak nie kończą, prawda? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Diana bawiła w Paryżu, była chroniona, kochana, bogata, miała wszystko. I zginęła. Mary zaś była w Polsce – i nagle poczuła się niepewnie. Tak chciałaby się wypowiedzieć, wyrazić grozę, po prostu pomówić z kimś!

Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy wierni pogrążeni byli w głębokiej modlitwie, Mary myślała o Williamie i Harrym, synach Diany, a potem modliła się za swoją własną rodzinę, nie wiedzącą, gdzie ich matka przebywa.

Śmierć Diany uprzytomniła jej nagle niebezpieczeństwa, na jakie wszyscy ludzie – i ona też – są w życiu narażeni. Samoloty, pociągi, samochody, wszystko takie kruche.

Nie rozumiała obrządku, ale był on pełen patosu. Trzydziestu chłopców w chórze śpiewało do wtóru takiemu rytuałowi przy ołtarzu, że Mary, zafascynowana, zapomniała na chwilę o wiadomościach ze świata. Seweryna przyjęła komunię. Dookoła przesuwali się ludzie, starzy i bardzo młodzi, Mary badała ich twarze: te starsze miały w sobie coś mizernego, nie głód, ale czujny, błagalny wyraz, jak gdyby ci ludzie ciągle żyli w przeszłości, albo rozpamiętywali jakieś przeżyte okropności ciągle na nowo. Mary była pewna, że to nie był tylko wytwór jej fantazji. Była przekonana, że ich rozumie. Myślała z głębokim współczuciem:

– Nie mają zwyczaju wypowiadać się swobodnie. Przejeżdżający obok samochód policyjny przyprawia ich o niepokój. Minie jeszcze wiele lat, zanim będą wypowiadać się tak, jak my to robimy w Australii. Starzy ludzie zawsze patrzą pod nogi. Na pewno to też pozostało im z przeszłości, kiedy chodzili obawiając się o swoje życie. Takie wyrzeczenia, taki ciężar, znoszenie jednego nieprzyjaciela po drugim, myślę, że trzeba następnego pokolenia, żeby ich rany się zabliźniły.

Wyszły z kościoła, kupiły sobie zimny napój i lody i wsiadły w następny autobus, który zawiózł je na cmentarz. Wyglądało na to, że kiedy ludzie w Polsce wybierają się na piknik, wszyscy idą na cmentarz. Mary żałowała, że nie może zrozumieć napisów na nagrobkach i na tych pomnikach sięgających w niebo. Dużo tu

leżało młodych ludzi, zmarłych w 1986, 87, 90, 91, zapytała, dlaczego?

– Piloci, bum, samolot niedobry – zrozumiała: zła konserwacja, polscy piloci, rosyjskie samoloty.

Mąż i matka Seweryny byli pochowani obok siebie. Grób Stanisławy Rogackiej był skromny w porównaniu z grobem męża Seweryny, ale oba dobrze utrzymane. Mary pomogła kupić kwiaty, Seweryna kupiła świece. Teraz zrozumiała, po co sprzedawano świece.

Seweryna odprawiła zwyczajowy rytuał: najpierw omiotła groby, potem je odkurzyła. Kazała Mary iść po wodę, *water*, po którą idąc trzeba było manewrować ostrożnie i z godnością między grobowcami. Wodę pompowało się ręczną pompą. Cieszyło Mary, że jest częścią tej kultury, i miała świadomość, że uczestniczy w tym jedyny raz w życiu. Więc pompowała tę wodę, jak normalna polska *pani*. Seweryna wylała część wody na groby, umyła je, reszta była potrzebna do kwiatów. Jej mąż nie żył od piętnastu lat, matka od dwudziestu, a groby ciągle były tak szanowane, jakby to wszystko było wczoraj. Kiedyś wyjaśniono Mary, że w Polsce obchodzi się dzień pamięci wszystkich zmarłych, 1-go listopada. Z tego, co widziała w tamtą niedzielę, wynikało, że ludzie w Polsce nigdy nie zapominają, gdzie spoczywają ich bliscy.

Był w Polsce jeden taki obyczaj, który obserwowała z zazdrością: rzucał się w oczy szacunek, jaki młodzi okazywali starszym. Miło było obserwować ich maniery i troskliwość, szczególnie w środkach publicznego transportu. Pomagali starym ludziom chętnie. Mary nigdy nie widziała, żeby młoda osoba siedząca w autobusie nie wstała, jeśli wsiadał jakiś starszy mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że to nie tylko dobre maniery, ale uczciwy, prawdziwy szacunek dla starszych, coś z czym się nie spotkała nigdzie indziej na świecie.

Nie widziała dookoła żadnych licznych rodzin. Dwoje lub troje dzieci wydawało się właściwą liczbą. W polskiej sytuacji kontrola urodzin musi być sprawą dramatyczną dla dobrych katolików. Bo to jest świat katolicki. Na papieża Jana Pawła II patrzy się jak na zbawcę Polski, a następny z kolei jest Lech Wałęsa, laureat nagrody Nobla, ojciec całej gromady dzieci.

Jechały przez peryferie Poznania, bezbarwne, miejskie dzielnice. Getta czynszowych budynków, identyczne egzemplarze cementowych bloków. – W Glasgow – przypomniała sobie Mary – próbowano tego po wojnie, ale dwadzieścia lat później zaczęto to burzyć. Ludzie chcieli od życia więcej, emigrowali do Kanady i Australii, które obiecywały przestrzeń i radość życia. Ktoś wkrótce położy kres tym potwornościom budowlanym. Widać przecież, że ludzie tu czynią wysiłki, żeby wprowadzić w swoje życie naturę: parki, drzewa, kwiaty. Jakoś w końcu urozmaicą

monotonię tych wysokościowców.

W tę niedzielę Seweryna zabrała Mary jeszcze do Ratusza, wspaniałego budynku stojącego na kwadratowym placu, brukowanym kamieniami i podobnym do placów Edynburga albo Paryża. Zdobiły go stragany kwiatów. Turyści i miejscowi, wszyscy zgromadzili się, żeby oglądać, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą. Z wybiciem zegara, w środkowej z trzech wieżyczek wyłoniły się dwa drewniane koziołki, skinęły tłumowi w dole, zwróciły się ku sobie, stuknęły rogami, raz, drugi, trzeci…. Ludzie głośno liczyli uderzenia. To przedstawienie trwało niecałą minutę. Dzieci się śmiały, trzaskały aparaty fotograficzne.

W poniedziałek Mary powiedziała Sewerynie:

– Nie, nie *more cooking* – dosyć gotowania. Zrozumiała.

W jakiejś pełnej urzędów dzielnicy Poznania znalazły miłą restaurację. Mary zamówiła “ryba”, bo wiedziała, że to *fish*, Seweryna zjadła to samo, z sałatą, obie piły też polskie piwo. Owszem, było dobre. Kelner oczywiście również usłyszał całą historię o Mary. Ręce Seweryny były bardzo wymowne, jak u Włochów, Mary zafascynowana obserwowała ich gestykulację. Była pewna, że stanowiły śmieszną parę, kiedy tak machały rękami, pokazując sobie to lub tamto. Wróciły do domu o

czwartej po południu. To tutejsze lato przypominało australijskie. Było ciągle gorąco i ani kropli deszczu. Mary wyciągnęła się na kanapie, a Seweryna poszła do kuchni. Niespokojna, po kilkunastu minutach Mary zajrzała do niej i… nie wierzyła własnym oczom: Seweryna zaczęła przygotowywać następny, wieczorny posiłek! Nie było na nią rady. Zdesperowana, usiłując spalić nieco kalorii, Mary zasugerowała miły, wolny spacer.

Seweryna podpierała się laską. Jej prawa noga była wiele razy operowana z powodu gruźlicy kości. W 1948 r. Jan posłał jej przez Czerwony Krzyż trochę penicyliny i ten antybiotyk uratował jej nogę. Dlatego czuli się jeszcze bardziej związani ze sobą. Jej miłość do niego była zresztą zawsze silna, podobno od dzieciństwa.

Było bardzo późne popołudnie. Młode matki pchały wózki ze swoimi dziećmi, a dzieciaki wszystkie wyglądały krzepkie i bardzo zadbane. Parki były pełne ludzi, młodych i starych, cieszących się tropikalną pogodą. Wracając mijały bardzo ładne, staroświeckie domy z wysokimi dachami. Ich drewniane drzwi z zasuwami były otwarte, żeby wpuścić nieco świeżego wieczornego powietrza. W ładnych ogrodach warzywnych, jabłonie i grusze sypały owoce na ścieżki. (…)

Wróciwszy do domu, Seweryna zagotowała i zabutelkowała owoce i odstawiła je na zimę, aby nic się nie zmarnowało. Mary

patrząc na to pomyślała o Szkotach. To oszczędna rasa. Powiadają oni: – Bądź rozważny dzisiaj, bo jutro możesz potrzebować. Nie wyrzucisz, nie będzie ci brak. Seweryna była zapobiegliwa jak Szkotka. (…)

W czwartek rano, o szóstej, Mary miała wracać do Warszawy. Smutno jej było opuszczać Sewerynę teraz, kiedy już zaczynały zupełnie dobrze się porozumiewać.

O 4.45 rano Seweryna była na nogach, jak skowronek, usiłując zmusić Mary do zjedzenia śniadania.

– Co ona tam pitrasi w kuchni? Oczywiście: hamburgery, troskliwie owinięte w srebrną folię, do zjedzenia w pociągu. Poza tym, dała Mary butelkę wody święconej z wizerunkiem Madonny, i drugą, małą buteleczkę dla Mandy.

Cudowna była ta troskliwość Ciotki Seweryny.

Przybyły na stację mając w zapasie dużo czasu. Seweryna uparła się, że wsadzi Mary do przedziału. Inni pasażerowie spokojnie czytali swoje poranne gazety. Mary chciała się po prostu wtulić w swoje siedzenie przy oknie i przemyśleć ten czas spędzony w Poznaniu, ale Seweryna krzątała się dookoła jak kwoka z kurczęciem.

Rozległ się gwizdek. Mary uśmiechała się i błagała ją w duchu: – Seweryno, proszę cię, wracaj na peron. Było jej smutno: czy jeszcze kiedyś zobaczy tę dzielną kobietę?

Pociąg ruszył. Obie miały łzy w oczach.

Patrząc potem na przesuwający się za oknem krajobraz, Mary myślała o tym ostatnim tygodniu spędzonym wśród obcych, a tak gościnnych ludzi. Czy udało jej się rozjaśnić ich życie, czy powiedziała im wystarczająco dużo, czy im się spodobała? Cóż, przynajmniej próbowała. W ciągu jednego tygodnia Seweryna dowiedziały się o swoim bracie więcej, niż w ciągu poprzednich pięćdziesięciu długich lat. Mary zrobiła, co mogła.

Rozdział 7 ukaże się w poniedziałek 22 maja 2017 r.

Już nie skrzypi moja

szafa

Piotr Guzy na ławce na nadmorskim deptaku, niedaleko swojego apartamentu z balkonem, z którego roztacza się widok na morze, na osiedlu Daimus-La Playa w Hiszpanii. To nadmorskie osiedle oddalone jest o ok. kilometr miasteczka Daimus i trzy kilometry od starego i uroczego miasta powiatowego Gandia, fot. arch. Piotra Guzego.

Rozmowa o Śląsku, wspomnieniach i życiowych rozliczeniach z mieszkającym w Hiszpanii pisarzem Piotrem Guzym.

Marek Baster: Czym jest Śląsk dla człowieka, pisarza, Ślązaka, który 45 lat temu na stałe go opuścił?

Piotr Guzy: Przede wszystkim wspomnieniem. Choć po odzyskaniu przez Polskę wolności odwiedziłem mój Śląsk kilka razy. Obraz Śląska, jaki przechowuję w pamięci, jest zatem zbitką tego sprzed wojny z tym, co zobaczyłem w czasie kilku niedawnych wizyt. Przeważa jednak ciężar gatunkowy wspomnień sprzed 1939 roku. To tak, jak gdyby sama pamięć broniła się przed najazdem nowych wrażeń, pieczołowicie – powiedziałbym nawet, z pewnym nabożeństwem – chroniąc w moim wnętrzu te tak bardzo już dziś odległe czasy. Konkretnie zaś: są to wspomnienia związane z dwoma określonymi miejscami.

Pierwsze to Tarnowskie Góry, gdzie chodziłem do szkoły, najpierw do tzw. ćwiczeniówki przy seminarium nauczycielskim, potem do gimnazjum. Ono wtedy nosiło piękne i związane mocno ze Śląskiem imię księcia Jana Opolskiego. Nie potrafię dociec, dlaczego po wojnie to zmieniono. Do gimnazjum przylegał bardzo stary i piękny cmentarz ewangelicki, który władze komunistyczne w barbarzyński sposób zbezcześciły, zrównując

go z ziemią. W ten sposób zamordowano kawał historii mojego miasta.

Jeszcze dziś, kiedy nie potrafię zasnąć przywołuję w pamięci drogę, która z naszego domu na tzw. górce prowadziła do szkoły. Przypominam sobie poszczególne domy, ogrody przylegające do klasztoru ojców Kamilianów. Wzdłuż płotu rosły orzechy laskowe, które po deszczu spadały na chodnik. Biegaliśmy tam wtedy, ścigali się do ich zbierania. Pamiętam ulicę Krakowską, wieczorami roiło się od ludzi, to był nasz tarnogórski deptak, szło się od gimnazjum w górę i z powrotem. Podobno już się tak dziś nie chodzi. Pewnie telewizja zabiła ten tak zbliżający ludzi do siebie obyczaj. W jednej bramie przy Krakowskiej był kiosk z prasą, gazety i tygodniki wisiały na ścianie, można było czytać pierwsze strony, gazety leżały także rozłożone na dużej ladzie. Dla mnie to było czarujące miejsce, pachniało farbą drukarską, tchnęło jakimiś obietnicami na przyszłość. Pamiętam Dom Ludowy, w którym się mieściła biblioteka i czytelnia Towarzystwa Czytelni Ludowych. Będąc w gimnazjum, zachodziłem tam niemal codziennie, nieważne, co to było, aby było drukowane. Gazety wisiał na tzw. kijku, tego też już dziś nie ma. Cisza wisiała w powietrzu idealna, spokój jakby się było w innym świecie, cudowne, cudowne miejsce. Tam czytywałem „Wiadomości Literackie”. Nie przeczuwałem, że kiedyś zostanę laureatem nagrody emigracyjnej kontynuacji tego periodyku, londyńskich „Wiadomości”.

MB: Pan się urodził w Zawadzkiem na Śląsku Opolskim, który pozostał w Niemczech.

PG: I to jest drugie miejsce, do którego mnie prowadzą przedsenne wspomnienia. Zawadzkie – rozległa wieś, przed wojną po drugiej stronie granicy, na byłym Śląsku Opolskim. Tam się urodziłem osiemdziesiąt lat temu. Dom, w którym przyszedłem na świat, już nie istnieje, ale dokładnie wiem, gdzie stał. Kiedy kilka lat temu byłem tam z moją angielską wnuczką, mogłem jej to miejsce pokazać, nawet zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Gdzieś do 14-15-go roku życia spędzałem tam letnie wakacje. Zawadzkie to były szeroko rozrzucone osady, które się nazywały: Pustki, Żydownia, Świerkla. Piękne, polskie nazwy, zawsze mnie urzekały. Mój dziadek ze strony matki, czyli starzyk, był robotnikiem leśnym i mieszkał na Monisku, nie wiem, co to słowo znaczy, ale też ładne. Monisko to były dwa domy na skraju lasu, jeden należał do gajowego, w drugim mieszkali moi dziadkowie. Między Świerklą a Moniskiem płynęła Małapanew, myśmy mówili przed wojną Malapana. Wtedy to była jeszcze krystalicznie czysta rzeka. Na łące na skraju rzeki, jakiś kilometr od domu, pasłem krowy. Pustki wznosiły się po drugiej stronie rzeki i pod wieczór w cichym i szerokim powietrzu leciały stamtąd dźwięki orkiestry miejscowej organizacji Hitlerjugend, niosły się głosy maszerujących przez wieś chłopców w brunatnych mundurach, śpiewających „Die Fahne hoh, Die Reihen sind geschlossen”, Hitlerowcy urządzali ogniska. Któryś z

moich kuzynów na Świerkli, dla których ja byłem „gorolem”, chyba też członek HaJot, wziął mnie kiedyś ze sobą. Impreza odbywała się na łące za kościołem parafialnym, w tle była czarna ściana lasu, ogień duży, płomienie strzelały wysoko, a już była noc, i w przerwach między frazami hitlerowskich i starogermańskich piosenek dało się słyszeć huczenie ognia. To robiło wrażenie, to fascynowało. To było prymitywne, od tego wiało grozą. Za kilka lat ci młodzieńcy ruszą na podpalenie całego świata, a ja będę przed nimi uciekał i na dobrą sprawę rozpoczętą 1 września 1939 roku ucieczkę skończę pod koniec czerwca 1940, kiedy na barce węglowej dopłynę do Liverpoolu w Anglii. Po czterech latach oni będą uciekali przede mną, żołnierzem brygady pancernej generała Maczka.

MB: Pański Śląsk jest kameralny i intymny. Nie ma już Pańskiego Śląska.

PG: Pojęcie Śląska jako olbrzymiego okręgu przemysłowego przyszło dopiero później. Z doświadczenia osobistego było mi nieznane, ja przed wojną nie byłem nawet w Bytomiu, nie mówiąc już o Katowicach. Trzeba także pamiętać, że Tarnowskie Góry nie miały przed wojną przemysłu, bodajże największym pracodawcą była Spółka Bracka, tzw. Knappschaft, ogólnośląski zakład ubezpieczeń dla górników. Świeżo upieczeni maturzyści pracowali tam za 20 złotych miesięcznie. Było to miasto urzędników i miasto garnizonowe, gdzie stacjonowały dwie

jednostki, trzeci pułk ułanów i jedenasty piechoty. Mój ogląd Śląska jest zatem emocjonalny i liryczny. Śląsk, podobnie jak cała Polska i cała Europa, grzązł wtedy w ogromnym, nieporównywalnym z dzisiejszym, kryzysie gospodarczym. W Nowym Jorku wyskakiwali z okien drapaczy chmur – w Tarnowskich Górach ludzie popełniali samobójstwa na biegnącej przez miast magistrali kolejowej, dwa razy zdarzyło mi się widzieć rozrzucone na torach ludzkie zwłoki. Na odcinku między Nakłem a Tarnowskimi Górami pociągi musiały zwykle zwalniać i wtedy z pobliskich pól rzucały się na wagony całe watahy bezrobotnych, którzy zwalali bryły węgla na tory, a ich koledzy brali je na plecy i przez pola uciekali w stronę Bobrownik, często gonieni na rowerach przez policjantów. Oczywiście, byłem po stronie uciekających.

Tarnowskie Góry dziś, fot. Wikipedia.

MB: Często słyszę od artystów, intelektualistów stąd się wywodzących, że do Śląska trzeba nabrać dystansu, że aby zrobić coś dla Śląska, trzeba go – na czas jakiś czy na stałe – opuścić. Pański przykład potwierdzałby tę opinię.

PG: Nie rozumiem, jak można mówić, że coś się robi d l a Polski czy w tym wypadku d l a Śląska. Nie rozumiem, jak

można twierdzić, że po to, aby coś dla Śląska zrobić, trzeba z niego wyjechać. Powiada pan, że mój życiorys wskazywałby, że tak rzeczywiście jest. Otóż nie sądzę.

We wrześniu 1939, w ramach tzw. przysposobienia wojskowego w naszym gimnazjum, „wyszedłem” z Tarnowskich Gór z nadzieją, tak nam obiecywano, że gdzieś tam dostaniemy broń i będziemy walczyć. Tak się nie stało. I nie winię za to ówczesnych władz polskich – ci, co obwiniają za klęskę kampanii wrześniowej ówczesne rządy, mają pomylone w głowach. Po dwóch dniach mój oddział, kilkakrotnie bombardowany i ostrzeliwany przez niemieckie Stukasy, rozleciał się, a ja w pojedynkę ruszyłem dalej w kierunku granicy rumuńskiej. Do tej przypominającej jakąś apokalipsę rejterady przez południowo-wschodnią Małopolskę wracam w pisanej obecnie powieści… Uciekałem więc, mogłem jednak wrócić do domu. Nie zrobiłem tego. Z tej prostej przyczyny, że się bałem Niemców, i to nie tych chłopców na Pustkach, śpiewających „Die Fahne hoh”, a tego, co mi się kojarzyło z tamtym ogniskiem, hukiem ognia, na łące za kościołem parafialnym w moim Zawadzkiem. Zgoda, wtedy znalazłem się za granicą, żeby walczyć o Polskę. Zostałem żołnierzem brygady pacernej gen. Maczka i przeszedłem szlak bojowy od Falaise do Bredy, gdzie, ranny, skończyłem moje bojowanie o Polskę.

MB: Ale wrócił Pan do kraju. I w 1957 roku opuścił go tym

razem na stałe.

PG: Mój drugi i ostateczny już wyjazd z Polski też był ucieczką, tym razem przed bezpieką. Wyjechałem więc nie dlatego, żeby móc coś dla Polski czy dla Śląska poza krajem robić, ale ze strachu przed przesłuchaniami na ul. Kochanowskiego w Poznaniu, torturami, strzałem w tył głowy. Fakt, że na emigracji napisałem kilka książek, które są pewnym wymiernym wkładem do literatury polskiej, miał charakter, powiedzmy, incydentalny.

MB: Czuje się Pan pisarzem *tout court*, czy pisarzem ze Śląska?

PG: Czuję się po prostu pisarzem polskim. Nie wiem, na czym miałaby polegać śląskość w pisarstwie. Moja ostatnia powieść „Zwidy na wysokościach" jest umiejscowiona w Tarnowskich Górach, ale równie jej akcja mogłaby przebiegać w jakimkolwiek innym polskim mieście. Miłość, cierpienie, śmierć, wygnanie, zdrada, powrót do rodzinnego gniazda mają wymiar ogólnoludzki. Pejzaż, tło, znaki drogowe mogą być miejscowe, ale to, co człowiek czuje, co ma w sercu, będzie w dużym stopniu jednakowe pod każda szerokością geograficzną.

MB: Bo teraz, mówiąc Pańskim słowami, to są książki o tym, że A kocha się w B, a C kocha D… Powiedział Pan, przy okazji ostatniej wizyty w Polsce, że nareszcie, nareszcie może Pan pisać takie właśnie książki, bo z własnymi trupami w szafie już się

uporał. Jakie trupy siedziały w Pańskiej szafie?

PG: Trupy w mojej szafie… To jest sprawa bolesna i skomplikowana, z którą do dziś się nie uporałem. Ja nie padłem ofiarą „ukąszenia heglowskiego”, w moim życiorysie nie ma „krótkiej przygody ze stalinizmem”, mnie nie zauroczyła faryzejsko-humanistyczna retoryka komunizmu. Dwa tygodnie po powrocie do Polski, jesienią 1949, zdałem sobie sprawę, że to jest zbrodniczy i nieludzki system, i że prędzej czy później trzeba będzie się z tego kraju wydostać. Przedtem, jeszcze będąc w Anglii na uniwersytecie, znając całą prawdę o Rosji sowieckiej, wyobrażałem sobie jednak, że tu się kształtuje jakaś radykalna forma socjalizmu, ale polska forma, na tyle więc cywilizowana, że dałoby się w niej żyć. Moje marzenia, z którymi wracałem do Kraju, żeby pisać, żeby oddać w pisaniu wizerunek tego, co dotąd przeżyłem, wzięły w łeb. Tu wszystko było kłamstwem. A ówczesny polski Parnas literacki piał z zachwytu, tarzał się jak świnie w uwielbiającej zbrodnię samozatracie. I wówczas powiedziałem sobie, że nie będę kłamał, iż żyjemy w raju.

MB: Mógł Pan nie pisać. Ale Pan chciał pisać.

PG: Od czasów moich pierwocin literackich w gimnazjum – zawsze chciałem pisać, chciałem drukować, chciałem zobaczyć własną książkę na półce. Nie chcąc więc pisać o dobroczynnych skutkach zaorywania miedz, o szczęściu jasnowłosych dziewcząt,

którym władza ludowa i „nasza partia” umożliwiła zajęcie miejsca za kierownicą Ursusa, nie chcąc unosić się nad dokonaniami przodowników pracy realizujących 150, a nawet 200 procent normy, nie chcąc wreszcie pisać o inteligentach z włosiennicą na grzbiecie, kajających się za swoje inteligenckie pochodzenie – postanowiłem, że będę produkował tzw. thrillery. Wybrałem pośledni gatunek literacki, ale myślałem, że może, z czasem… Często nachodziła mnie pokusa, żeby, jak to się wówczas w kołach literackich mówiło, „przełamać się”, „zrzucić starą skórę”. Nie wiem, co mnie powstrzymywało od postawienia tego kroku. Tyle wiem, że nie chciałem kłamać, nie chciałem się brukać. Ale nawet pisząc „thrillery”, nie sposób było uciec od rzeczywistości. W ten sposób ja też się utytłałem i swoim pisaniem zatruwałem dusze czytelników.

Wtedy wybuchła tak zwana sprawa Bergu, wspaniały materiał na dreszczowiec. Napisałem na jej podstawie powieść pod tytułem „Nocny zrzut”. To jest wredna książka, niegodziwa, judaszowska, podła. Gdy dziś o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden przymiotnik: obrzydliwa. Ale to zrozumiałem dopiero później. Znalazłem tę książkę po latach w bibliotece Radia Wolna Europa w Monachium. Od czasu wyjazdu z Polski w 1957 roku zawsze myślałem, zawsze się bałem, że kiedyś przyjdzie chwila, gdy ktoś mi rzuci tą książką w twarz. I kolega redakcyjny, którego bardzo szanowałem, zapytał mnie kiedyś: „Jak mogłeś, jak TY mogłeś napisać coś takiego?”. Mnie wtedy zabolało nie to,

że mi zarzucił niecny czyn, mnie zabolało to, że ta książka go uraziła, ja mu tą książką sprawiłem przykrość, ja tą książką utwierdzałem jego powątpiewania o ludzkiej przyzwoitości. Bo on tym pytaniem nie chciał mi dokuczyć czy w jakikolwiek sposób mnie poniżyć, zresztą to było już po wydaniu mi przez Giedroycia „Krótkiego żywota bohatera pozytywnego”. A kilka lat później inny kolega, przyjaciel wówczas, też pisarz niedawno przybyły z PRL, zapytał mnie: „Dlaczego ty po prostu nie weźmiesz tej książki i jej nie spalisz?”.

Nie wziąłem, nie spaliłem. Myślę, że nie jest zabiegiem pochwalnym poprawianie swojej biografii zacieraniem śladów po czynach, które dziś potępiam. Jeśli już, to ślady należy zabezpieczać, aby nie fałszować historii, która nie jest przecież moją osobistą własnością. Nie sądzę, żeby była właściwa postawa tych naszych pisarzy, którzy swego czasu pełnili funkcję utrwalaczy władzy ludowej, a potem spuścili na ten okres zasłonę milczenia i zachowują/zachowywali się tak, jakby tej czarnej dziury w ogóle nie było.

Napisałem tę książkę. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło ją do druku. Zanim jednak powzięto ostateczną decyzję, do Poznania, gdzie wówczas mieszkałem, przyjechał redaktor z wydawnictwa, niejaki pan Koźniewski. Przez dwa dni po kilka godzin dziennie siedzieliśmy u niego w hotelu „Bazar”, a pan Koźniewski, strona po stronie, linijka po linijce, układał ze mną,

człowiekiem już zniewolonym, politycznie poprawny wydźwięk powieści. Pamiętam, jak w pewnej chwili na jakieś moje zastrzeżenie rzekł: „Proszę pana, MY Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam”.

MB: Kandydatów na Hamletów było wtedy jak na lekarstwo.

PG: Nie dodam sobie chwały, odpowiadając szczerze, że to miała być moja pierwsza książka i że zależało mi na tym, żeby wyszła. Tu zagrała moja próżność, w ten sposób zdobywałem wstęp do upragnionych kręgów, choćby tylko takich jak kawiarnia literatów na Krakowskim Przedmieściu. Cała ideologia, czyli tło fabuły, cały ten sztafaż górnolotnych pojęć zaczerpnięty z „Poradnika agitatora”, to wszystko było mi zupełnie obce, naprawdę mi wisiało.

Przez osiem lat pobytu w PRL, oprócz tego nieszczęsnego „Nocnego zrzutu” napisałem jeszcze trzy inne powieści kryminalno-sensacyjne, które zapewniały mi wcale dostatnie życie. Ale to były tylko czytadła, to nie była literatura i byłem tego w pełni i boleśnie świadomy. Zawsze jakaś część mnie stała obok, gdzieś na stronie, i uważnym okiem mi się przyglądała i mnie oceniała. Przez tych osiem lat to drugie ja mnie potępiało, zarzucało mi zdradę, drwiło z mojego, tanimi środkami osiąganego, samozadowolenia. I gdyby nie to, że w skrytości ducha wiedziałem, że stać mnie na coś lepszego, byłbym zapadł

na debilitujący kompleks niższości. Zresztą ten kompleks już we mnie dojrzewał: jaki ja się czasami czułem mały!

Z upływem tych peerelowskich lat to drugie, nieodstępujące mnie ja, coraz bardziej się do mnie dobierało, kłuło sumienie, roztaczając przede mną widok na grzęzawisko samozatracenia rozległe jak przedwojenne błota pińskie. Szedłem ku ruinie. Trzeba się było ratować, chodziło przecież o moją duszę.

Gdzieś wiosną 1957 zacząłem pisać powieść. Jej fragment opublikowałem w „Tygodniku Zachodnim" wychodzącym w Poznaniu, którego byłem jednym z redaktorów. Fragment nosił tytuł „Dzień po śmierci" i był zaopatrzony w motto zaczerpnięte od O`Neilla: „When Truth and Love and God are dead, it is time, full time, to die". To był kawał solidnej, uczciwej prozy. Wstąpiłem na drogę odkupienia.

Mój skromny triumf na rodzimej glebie nie trwał długo. Fragment powieści ukazał się z datą 2 listopada 1957, a już pięć dni później, dokładnie 7 listopada, wraz z moją piękną angielską żoną i dziesięcioletnim synkiem przekraczaliśmy w Kunicach granicę z NRD. Tego samego dnia znaleźliśmy się w Berlinie, a tydzień później wszyscy byliśmy już w Londynie. Żona z synkiem polecieli samolotem, ja pojechałem pociągiem, bo na trzeci bilet lotniczy nie mieliśmy już pieniędzy.

MB: Jak Pan myśli, jakie trupy siedzą w szafie przeciętnego Ślązaka?

PG: Proszę pana, jest takie powiedzenie angielskie, bodajże z Szekspira: „There but for the Grace of God goes I”, co mniej więcej znaczy, że tylko łaska boska uchroniła mnie przed podobnym (w domyśle: nieszczęśliwym) losem. Otóż gdyby Śląsk, mam na myśli Górny Śląsk, bo to jest moja kraina, mieścił się tam, gdzie historia usytuowała na przykład Małopolskę wschodnią czy gdzieś na północno-wschodnich rubieżach Drugiej Rzeczypospolitej, Ślązacy też, prawdopodobnie, nie zarzekam się, prawdopodobnie też mieliby niejedno na sumieniu. Ale u nas nie było zwartych skupisk żydowskich, więc kiedy Niemcy likwidowali getta czy żydowskie dzielnice w miasteczkach, Ślązacy nie czekali, aż naszych żydowskich braci Niemcy wywiozą do Oświęcimia czy innego obozu zagłady, żeby jak hieny rzucić się na rabunek pożydowskiego dobytku. U nas nie było Jedwabnego czy Radziłowa, ale gdyby geografia obeszła się z nami inaczej?… To właściwie wszystko, co można na ten temat powiedzieć. Całą reszta, w każdym człowieku inaczej, jest nie do odgadnięcia. A gdyby ją można było odgadnąć, zobaczyć demony, które się w nas czają, to prawdopodobnie wszyscy skończylibyśmy w zakładzie dla obłąkanych.

MB: Ale czy to prawda, że Ślązacy są w środku inni? Powiedział mi kiedyś ks. prof. Jerzy Szymik, profesor KUL-u i poeta, że kiedy

czytał Mickiewicza, doszło do niego, że nadniemeńska puszcza to nie jest jego las. Że jego las jest gdzieś pod rodzinnym Pszowem – to ten sam las opiewany przez romantycznego poetę niemieckiego Eichendorffa. Że na Śląsku ludzie mają inną mentalność od bohaterów „Pana Tadeusza”, że na Śląsku grzeszy się inaczej.

PG: Lubię „Pana Tadeusza”, głównie za piękną polszczyznę, która jest prosta, elegancka, nie zabagniona barokiem ani estetyczną pretensjonalnością. Takim językiem wciąż mówi kulturalny i wykształcony Polak. Ale postacie „Pana Tadeusza” są mi obce, to są kukły. Ładne to jest, owszem, ale to bajka, a jedyna postać, o której da się z żywością myśleć, to Telimena (któż by się z nią nie przespał). Mickiewicz tym utworem dał nam wzorzec pięknej polszczyzny, ale jednocześnie zaczadził umysły pokoleń Polaków. Niestety. Polacy wciąż tęsknią za krainą, jaka nigdy nie istniała, identyfikują się z ludźmi wydumanymi na paryskim bruku, stworzonymi z tęsknoty.

Mnie „Pan Tadeusz” nie oczarował, nie uwiódł swoją własną słabością. Nie tęsknię, nigdy nie tęskniłem za Soplicowem, to nie jest kraj moich dziecięcych baśni, nie tam leży Eden mojej niewinności. Mój las jest na Monisku w Zawadzkiem – istnieje do dziś, tak sam, jak wtedy, gdy byłem mały i na Monisku spędzałem moje letnie wakacje. Przechodziło się przez prostokątne, długie podwórze obok piekarnioka, obok haźla (co

za ohydne słowo!), obok dwóch sosen, o które opierały się wysokie i proste jak strzała żerdzie, pomocne starzykowi przy gospodarstwie – on sam robił grabie, uzupełniał połamane części wozu itd. – i zaraz potem wychodziło się w las. Ten las był rozgrzany w słońcu, ten żar czułem na moich bosych nogach, powietrze nasycone zapachem gorącej żywicy drgało, iskrzyło się jak rodzaj czarodziejskiej zawiesiny, a potem, kilkanaście metrów dalej, w niezbyt głębokim wądole płynęła krystalicznie czysta Malapana, czyli Małapanew.

Często przed snem widzę siebie biegnącego drogą przez las obok rzeki, pędzę dwie krowy na pastwisko, potem siedzę albo leżę na miedzy i czytam polskie kalendarze wydawane, jeśli dobrze pamiętam, w Raciborzu, w których dużo było o Husytach i Taborytach. I owszem, niemal zawsze w ten sen, pół-sen wplątują się dźwięki fletów, trąbek, piszczałek chłopaków na Pustkach, po drugiej stronie rzeki, przemierzających ulice osady i śpiewających hitlerowskie i starogermańskie pieśni. Ale to mi nie przeszkadza, w niczym nie mąci słodyczy i czaru tego wspomnienia.

MB: Ale to nadniemeńska puszcza zawładnęła polską zbiorową wyobraźnią, cała właściwie literatura polska była obrócona na wschodnią stronę.

PG: Kresy wschodnie dały nam Mickiewicza, Słowackiego,

Krasińskiego, współcześnie Miłosza i wielu innych, którzy na trwałe zagospodarowali naszą kulturę, sztukę, wyobraźnię. I tego im zazdroszczę, tym dawnym kresom wschodnim. Na Śląsku tego nie mamy. Zastanawiam się, dlaczego tak jest. Nasuwa mi się taka odpowiedź: wszystko kulturalne i artystyczne, co stamtąd pochodzi, bierze się z tęsknoty. Tak jak gdyby oni wszyscy wiedzieli, że ich świat się kończy, coraz bardziej oddala. A tęsknota i nostalgia to doskonałe budulce sztuki. Śląsk natomiast, to znaczy nasz polski Śląsk nie miał jeszcze swego zenitu, my tu ciągle jeszcze patrzymy w przyszłość, tam, na zachód, i nie wiemy, jaka ona będzie. Proszę zwrócić uwagę, że Śląsk jest utraconym Edenem dla niemieckojęzycznych pisarzy śląskich, którzy musieli go opuścić.

MB: Jacy są Ślązacy? Jacy byli Ślązacy, których Pan pamięta?

PG: Na Śląsku dominującą była kultura i cywilizacja niemiecka. To dało Ślązakowi szacunek do pracy, honor, który się w pracy zawiera, wytrzymałość. Ślązak jest mocny i twardy, na Śląsku słabeuszami się zawsze gardziło (czego lud chrześcijański nie powinien robić), za niedołęgami leciały wyzwiska. Ślązacy zawsze mieli w wysokiej estymie prawo, tu nie było anarchii, Ślązak potrafił sobie narzucić dyscyplinę. Ślązak nigdy nie płaszczył się przed drugim człowiekiem, nie „kłaniał się czapką do ziemi”, jak to czynił wobec Stalina Władysław Broniewski, choć z drugiej strony serdecznie go nienawidził. Na Śląsku nie

widziało się tej niezaradności, jaka była niemal powszechna w dawnym zaborze austriackim czy rosyjskim, tej ślamazarności, zatrważającego braku higieny osobistej chłopa polskiego, co to się mył raz na miesiąc, a o szczotce do zębów nigdy nie słyszał.

MB: A wady? Nie mają wad? Nie są zbyt pasywni, nieśmiali, wręcz „dupowaci”, jak mówią nawet śląscy publicyści? Czy nie przez tę pasywność wyjeżdżali, zamiast trwać i opierać się, za łatwiejszym chlebem do Niemiec?

PG: Tym, co mówią o śląskiej „dupowatości” (i niech im Pan Bóg za to odpuści lub przynajmniej skróci męki piekielne), dedykuję następującą historyjkę. Mój ojciec urodził się w rodzinie robotniczej w roku 1894 w Zawadzkiem. Walczył w Reichswerze, a potem w dwóch powstaniach śląskich. Kiedy po plebiscycie Zawadzkie przypadło Niemcom, ojciec przeprowadził się do Tarnowskich Gór. Pracował na poczcie, najpierw jako listonosz, potem jako urzędnik „w okienku”, co było wielkim awansem. Prenumerował „Polonię”, która była związana z Wojciechem Korfantym. Ja, nie podzielając jego chadeckich poglądów, wychowałem się w jego kulcie. W „Polonii” pisywał jeszcze Aleksander Świętochowski, mój ojciec czytywał jego olbrzymie artykuły, a jak trafił na słowo, którego nie znał, mnie się pytał.

W trzydziestym którymś roku, zaciągnąwszy pożyczkę w Banku Gospodarstwa Krajowego, ojciec wybudował dwupiętrowy dom.

Przez pewien czas mieszkanie na piętrze zajmowała „pani doktor”, pochodząca z Kongresówki czy z Galicji, nie pamiętam. Miała dwie córki. Uczyła języka polskiego w gimnazjum żeńskim. Mieszkanie składało się z trzech pokoi, dużej kuchni, spiżarni, tzw. antryjki, ubikacja, dla każdego mieszkania osobno, znajdowała się na klatce schodowej. Pani doktor zatrudniała służącą, też gdzieś ze swoich stron, która spała na podłodze w antryjce i była brudna. Otóż tam u nich w kuchni na stole i na podłodze było wszystko: obierzyny po kartoflach, brudna bielizna, butelki, w których pleniła się pleśń, niemyte garnki i talerze, książki, rozsypane sterty zeszytów szkolnych do poprawiania. Smród przenikał aż na klatkę schodową. I któregoś dnia mój ojciec poszedł na górę i powiedział: „Pani doktor, ja panią przepraszam, ale pani się musi stąd wyprowadzić, inaczej mi pani cały dom zapaskudzi”.

A w sprawie wyjeżdżania Ślązaków do Niemiec. Miałem wujostwo w Imielnicy, w pobliżu Zawadzkiego. Był to w miarę zamożny i szacowny gospodarz. Tak zwana Polska Ludowa lżyła go, że nie jest Polakiem, upokarzała go, tzw. autochtona, na każdym kroku, dobijała podatkami, domiarami i Bóg wie, czym jeszcze. Wujostwo umarli, a cała reszta rodziny przeniosła się do Niemiec Zachodnich. Nie mam im tego za złe. Tam odzyskali godność ludzką. Człowiek ma tylko jedno życie i nie można go winić za to, że stara się przeżyć to życie w sposób możliwie bezbolesny. Nikt nie lubi, gdy mu się pluje w twarz. (…)

MB: Czy… drzwi Pańskiej szafy jeszcze czasem… skrzypią?

PG: Do Polski, kiedy ponownie stała się wolna, przyjechałem dopiero w roku 1994. Zwlekałem, powodowany w dużym stopniu obawą o wstyd, z jakim – myślałem – przyszłoby mi się zmierzyć. I rzeczywiście, hydra pytająca o ten nieszczęsny „Nocny zrzut" podniosła swój łeb. W drugim dniu pobytu w Polsce byłem w Poznaniu, kiedy pewna pani zapytała mnie, jak się zapatruję na tę powieść w świetle wszystkiego, co się w Polsce stało po roku 1989. W pokoju zaległa cisza. Ciężka i złowieszcza jak ołowiane wieko trumny. Oczy całego towarzystwa przebijały na wskroś mój wątły korpus niczym strzały św. Sebastiana. Gospodarze domu, z gościnności których korzystałem, zresztą przyjaciele z dawnych lat, doświadczyli, widziałem to w ich oczach, w spojrzeniach, jakie między sobą wymienili, doświadczyli, powiadam, chwili głębokiego zakłopotania, mnie zaś zrobiło się bardzo przykro, że ich na coś podobnego mimo woli naraziłem. Kolega w Monachium pytał przed laty: „Piotrze, jak ty mogłeś coś takiego napisać?", jego bolało, że ja się ta książką upodliłem, ale nie pytał mnie po to, żeby mi dokuczyć, żeby się nade mną pastwić. Natomiast ta pani, której wilcze oko tkwiło we mnie niemiłosiernie, świadome zadanej mi rany, tę ranę swym przeciągłym spojrzeniem rozdrapując, otóż ta pani triumfowała, jej korpulentne ciało stało się jakby nieważkie, jakby przezwyciężyło swoją małą posturę i lewitując, unosiło się w powietrzu. Ja zaś pod jej wzrokiem wiłem się jak nadepnięta

dżdżownica.

Ale spojrzenia gospodarzy, pełne przyjacielskiego zatroskania i chęci moralnego wsparcia, pomogły mi w odzyskaniu równowagi. Odpowiedziałem, że się tej książki wstydzę, że od wielu lat siedzi we mnie poczucie winy, że nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się z tego grzechu oczyścić. Nie wspomniałem przy tym o twórczym udziale pana Koźniewskiego w przypasowaniu książki do obowiązującej wówczas ideologicznej poprawności, gdyż to mogłoby wyglądać na próbę choćby tylko częściowego zwalania z siebie winy. Ale wątpię, żeby moja wypowiedź znalazła łaskę w oczach usiłującej mnie pognębić pani.

Jednak gdy tylko skończyłem, zacząłem jakoś inaczej na nią patrzeć. Zrozumiałem, że dzięki niej sam siebie skonfrontowałem i to publicznie. Poczułem ogromną ulgę. Po raz pierwszy w Polsce w ten sposób się otworzyłem przed kimś, to był dla mnie przełom, nigdy tego nie zapomnę. I właściwie jestem tej pani wdzięczny. Że zrobiła to w sposób toporny, to już inna sprawa, ale ona miała prawo do swoich zarzutów. To była wredna książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Czy uporałem się z już z własnymi trupami w szafie, bo o to mnie pan przecież zapytał? To, co napisałem i wydałem od czasu wyjazdu z Polski w 1957, jest chyba taką próbą. Ale chciałbym podkreślić, że pisząc, daleka mi była myśl, że w ten sposób dokonuję rozrachunku z samym sobą i się oczyszczam. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” powstał na podstawie pewnego wydarzenia, które miało miejsce w Tarnowskich Górach. Mąż znajomej mi osoby – w gimnazjum był o jedną klasę niżej ode mnie – funkcjonariusz bezpieki, po sprawie Różańskiego i Fejgina przestraszył się, że on też pójdzie siedzieć i wsadził głowę do pieca, odkręciwszy wszystkie kurki. A gdyby zamiast wybierać śmierć, postanowił się bronić? Z takiego postawienia sprawy zrodziła się ta powieść. Dostałem za nią nagrodę paryskiej „Kultury”. Stałem się pisarzem, już nie musiałem w skrytości ducha się wstydzić ani obłaskawiać swojego kompleksu niższości. A kilka lat później za powieść „Stan wyjątkowy” zostałem nagrodzony przez londyńskie „Wiadomości”, wciąż redagowane przez Grydzewskiego – pismo, w którego wersji przedwojennej pisywali Żeromski, Nałkowska, Wierzyński, cała plejada najlepszych pisarzy polskich. Doprawdy, pisarz emigracyjny nie mógł marzyć o większych laurach.

Ale grzech, dlatego tylko że został ujawniony, nie przestaje być grzechem i nie przepada w jakiejś czarnej dziurze.

Marek Baster*, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”,*

współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.